PLACÓWKA

ORGAN PEOWIAKÓW OKRĘGU ŚLĄSKIEGO

„PRAWDĄ I PRACĄ“

Nr. 2-3	Katowice 1938 — Luty-Marzec	Rok III



Naczelnemu Wodzowi — Twórcy Nowej Zjednoczonej Polski — Głównemu Komendantowi Związku Peowiaków — z okazji imienin 18 marca składają serdeczne życzenia

PEOWIACY ŚLĄSCY

Jerzy Jastrzębiec-Zakrzewski.

Idea Zjednoczenia Narodowego, czy zjednoczenie partji politycznych?

Zjednoczenie Narodowe —
— to ideowy ruch nacjonalistyczny.

Ostatnimi czasy coraz więcej widocznym jest, iż zrozumienie konieczności zjednoczenia się Polaków — dla uporządkowania stosunków politycznych, gospodarczych i socjalnych w naszym kraju, przeniknęło już do szerokich rzesz polskich i że rzesze te zaczynają coraz bardziej zdawać sobie sprawę, iż **główną przyczyną** naszej nędzy, zacofania i bezrobocia — jest rozbicie Narodu.

Z tej sytuacji korzystają całe gromady pasożytów, zdecydowane nie dopuścić do zjednoczenia się Narodu, jak i zdecydowane poruszyć wszelkie sprężyny, by — o ile się uda — samą myśl o zjednoczeniu zdławić w zarodku lub też pchnąć ją na takie tory, na których z całą pewnością się wykolei... Dlatego też, **kto chce naprawdę dokonać zjednoczenia Narodu, ten musi wprzód podjąć nieubłaganą walkę z wszystkimi tymi żywiołami destrukcyjnymi,** o których wiadomo, do czego w rzeczywistości dążą. Te żywioły działają nietylko na lewicy, lecz i na prawicy, i dlatego też **pierwszym odruchem zjednoczonego Narodu musi być zrzucenie jarzma niepolskich wpływów gospodarczych i politycznych.** Inaczej... niema mowy o dźwignięciu Polski — **w zwyż!**

Legjoniści, którzy mają dzisiaj wielką władzę w ręku — jaką im daje obecna Konstytucja, nie robią z niej w całej pełni i takiego użytku, jaki można by zrobić dla wielkości Polski i dla dobra szerokich rzesz narodowych. Stoimy pod tym względem prawie w miejscu, chociaż mamy do dyspozycji motor, z którym moglibyśmy bardzo szybko poruszać się naprzód. Inne narody musiały toczyć długie i ciężkie wewnętrzne walki polityczne zanim drogą przewrotu znalazły się w możności stworzyć sobie taki instrument. Polska — **za sprawą Józefa Piłsudskiego** — otrzymała go niejako w prezencie. I oto nie wykorzystujemy go...

W rękach narodowych **nowa konstytucja** okaże się kiedyś znakomitym instrumentem do zrobienia porządku w Polsce, rozwinięcia sił i potęgi naszej Ojczyzny, jak i podźwignięcia z nędzy i ciemnoty szerokich rzesz ludowych, natomiast **w rękach zwolenników „demokracji" — stałaby się przede wszystkiem instrumentem polityki niepolskiej.** Nie trzeba mieć zbyt bujnej fantazji, by sobie wyobrazić, coby się stało, gdyby władza w Polsce, płynąca z nowej konstytucji, znalazła się w rękach przedstawicieli t. zw. „frontu demokratycznego", wspomaganego przez mniejszości narodowe, a kierowanego z ukrycia przez masonerję.

Wśród zwolenników „demokracji" są i poczciwi ludzie, dobrzy Polacy — lecz oni nie widzą, iż **całym tym „frontem demokratycznym"**, tym demokratycznym wrzaskiem — **kieruje z ukrycia masonerja.** Wszelkie ostrzeżenia traktują z lekceważeniem, to też tacy nawracają się dopiero po niewczasie.... Pełno ich dziś w Hiszpanji — u gen. Franco..., lecz jakimże kosztem zaistniało ich nawrócenie?...

W Polsce nie mówi się wprawdzie o „froncie ludowym", mówi się tylko o „froncie demokratycznym", bo u nas partja komunistyczna, twórczyni frontu ludowego w Hiszpanji i Francji, jest nielegalną. Możnaby sobie jednak wyobrazić, jaka byłaby to pstrokacizna polityczna i zbieranina, to też byłoby to dźwiganie Polski w dół — ku przepaści, a nie w zwyż, jak zapowiedział Marszałek Śmigły-Rydz, żołnierz **Józefa Piłsudskiego, który właśnie do niczego na świecie nie odnosił się z takim wstrętem jak do wszelkich koalicji partyjnych** i który Brześciem odpowiedział na próby stworzenia koalicji (porozumienia) centrowo-lewicowej w Polsce. A przecież Józef Piłsudski był **szczerym demokratą!**

Czasy przed przewrotem majowym 1926 r. nauczyły nas, iż niemożliwym jest zmontowanie takiego porozumienia międzypartyjnego, na którym możnaby cośkolwiek zbudować. Wszak u nas koalicje partyjne pękały już przy tworzeniu rządu, tak że trzeba było niejednokrotnie powoływać rząd pozaparlamentarny lub urzędniczy. **Czyż więc można sobie dziś wyobrazić taką koalicję stronnictw naszych, któraby potrafiłaby przeprowadzić jakiś poważniejszy program lub realizować nawet to, co jest w deklaracji płk. Koca...**

Dlatego też **zjednoczenie narodowe** należy rozumieć zupełnie inaczej, jako — ideowy **ruch nacjonalistyczny.** Bez tego ruchu nie pomoże Polsce, ani zastosowanie formy, ani metod systemu nacjonalistycznego, — gdyż brak będzie w tym wszystkim przedewszystkiem ducha nacjonalizmu..., przekonał się o tym — w chwili swego upadku — Primo de Rivera w Hiszpanji i gen. Pangalos w Grecji. Przestańmy ich zatym naśladować, natomiast bierzmy wzory z Italji, gdzie **motorem wszelkich działań państwowych jest duch narodowy obywateli!**

Kto chce Polski, w której **jedynym gospodarzem** będzie Naród Polski, **Polski narodowej, silnej i zasobnej, dobrobytu i szczęścia dla ludu polskiego** — ten nie może nawet myśleć o jakimś porozumieniu (jednoczeniu) międzypartyjnym i opierać bytu Polski na tak słabym i kruchym gruncie, jak koalicja partji i stronnictw politycznych.

Na to trzeba Narodu naprawdę skonsolidowanego (zjednoczonego), gdzie każdy poszczególny człowiek wie, o co chodzi i gdzie każdy z osobna gotów jest wydobyć z siebie ostatek sił, aby wspólne dzieło się udało. Na to trzeba konsolidacji, w której nie będzie miejsca na żadne partje, i dlatego też **trzeba wyprowadzić Naród z podwórek partyjnych,** aby połączył się i maszerował zgodnie **pod jednym sztandarem biało-czerwonym.**

Zresztą, gdyby chodziło tylko o zmontowanie w Polsce koalicji partyjnej, to mamy przecież dosyć różnych rutynowanych „graczy" politycznych, którzy potrafili by zmajstrować taką „konsolidację" i bez O. Z. N.

Zdaje sobie z tego sprawę i następca płk. Koca — **gen. Stanisław Skwarczyński,** gdy w swojej mowie pożegnalnej w Wilnie — oświadcza głośno: „Nie pójdę ani drogą prawą, ani lewą, ani centrową..." Widać, iż doszedł do przekonania, **że trzeba stworzyć Polskę zupełnie nową,** w której nie będzie ani prawicy, ani lewicy, ani centrum — w dzisiejszym znaczeniu tych słów, lecz wszędzie będą **tylko** Polacy, wszędzie będzie **tylko** Naród Polski i Państwo Polskie!

Trzeba mieć dużo odwagi, by głośno wystąpić z takim poglądem — chociaż jest to dziś pogląd olbrzymiej **większości** Polaków...

Dla narodów, które są tak szczęśliwe, że na swoim terytorjum nie mają zbyt wiele ludzi innych narodowości — zagadnienie **państwa narodowego** jest zupełnie proste i nieskomplikowane; lecz co innego widzimy w Europie Środkowej i Wschodniej. Tutaj narody, które utworzyły swoje państwa, widzą dookoła siebie poważne mniejszości narodowe i dlatego też **idei państwa narodowego** zaczyna się przeciwstawiać — ideę państwa, będącego własnością wszystkich; takie stanowisko jest wyraźnie utrwalone i w obecnej naszej Konstytucji kwietniowej. Jednak tym nie mniej — **państwo, będące tworem narodu rządzącego,** musi być i pod względem **gospodarczym jego własnością,** a nie własnością wszystkich. Innymi słowy, interesom wewnętrznopolitycznym i gospodarczym **narodu rządzącego** — muszą się podporządkować, dobrowolnie lub pod przymusem, narodowości będące w mniejszości.

Jeśli tedy zająć takie stanowisko wobec mniejszości narodowych, to trzeba dojść do wniosku, iż **państwo narodowe w Polsce jest najzupełniej możliwe.** Kto chce być zatym **konsekwentnym narodowcem,** ten musi się pożegnać z ideami, w których wyrósł i wychował się w okresie poprzedzającym ostatnią wielką wojnę europejską.

Pamiętajmy, iż w chwili niebezpieczeństwa — ani żydzi, ani Liga Narodów, ani **„wielkie demokracje"** zachodniej Europy, nie przyjdą nam z pewnością z pomocą. Polska zostanie wtedy sama ze swoim ludem... To też od tego, czy będą to zastępy nędzarzy, wycieńczonych przez biedę, czy — zastępy ludzi, tryskających zdrowiem fizycznym, zadowolone ze swego losu i owiane duchem namiętnego przywiązania do Ojczyzny — zależeć będzie wszystko!... **Sam duch nie wystarczy** — gdy „ciało jest mdłe". Trzeba więc wyciągnąć z tego konsekwencje, nie oglądając się na nic i na nikogo, tym więcej, iż wymagają tego podstawowe i najistotniejsze względy obrony Państwa.

Wielka władza, nie wykorzystana dla urzeczywistnienia wielkich zadań i **wielkich dążeń narodowych,** podnieca tylko umysły i wywołuje niezadowolenie, — to też widzimy u nas, **z jednej strony** — szerzącą się akcję pod niewinnie brzmiącym szyldem „frontu demokratycznego" i z pozornie niewinnym hasłem — „zdemokratyzowania systemu", ażeby — obrócić tę wielką władzę p r z e c i w k o Narodowi Polskiemu, jego ambicjom i dążeniom, a **z drugiej strony** — akcję, dążącą do wzniesienia n i e p r z e b y t e j ściany między ruchem narodowym i dysponentami tej władzy. Znamy jednych i drugich...!

Naszym zdaniem — bez względu na to, z jakich powodów obecni posiadacze tej przeogromnej władzy nie robią z niej takiego użytku, jakiego wymagają — w naszych oczach potrzeby Narodu i Państwa Polskiego, — musimy w interesie Polski dobrze baczyć, by — czasem — wróg naszych ideałów narodowych nie wyrwał im tej władzy z rąk; byłoby to naprawdę zgubą Polski. **A o Polskę przecież chodzi i o Naród Polski!...** o tym każdy **prawdziwy Polak** winien dobrze pomyśleć.

Wolno nam mieć żal do nich, iż sami nie robią tego wszystkiego, co naszym zdaniem — należałoby robić, lecz odwracać się od nich, nie manifestować **naszych postulatów** i mówić: Niech sobie robią, co im się podoba — tego nam nie wolno!

Jeśli zaś chodzi o szeroki ogół, to mało jest takich Polaków, którzy z całego serca nie pragnęliby, aby raz wreszcie skończył się cały ten obecny rozgardjasz polityczny, w którym — normalny człowiek — posiadający wszystkie klepki w porządku, zaczyna się coraz bardziej nie orientować...

Jan Jakub Kowalczyk.

Tworzenie osiedli robotniczych

podstawą rozwiązania kwestii bezrobocia na Śląsku.

I. PRZEMYSŁ ŚLĄSKI NIGDY NIE DA ZATRUDNIENIA WSZYSTKIM BEZROBOTNYM NA ŚL.

Według mowy budżetowej Wojewody Śląskiego dr. Grażyńskiego, wygłoszonej w Sejmie Śląskim w dniu 18 stycznia 1938 roku, mamy w województwie śląskim 82.000 bezrobotnych. O ile mnie pamięć nie zawodzi, w styczniu 1937 roku cyfra odnośna była znacznie wyższa, co zgadza się ze stwierdzeniem Pana Wojewody, że w roku 1937 liczba zatrudnionych wzrosła w naszym przemyśle śląskim dzięki poprawieniu się koniunktury gospodarczej w świecie, także w Polsce i na Śląsku. Gdy bowiem w 1936 roku zatrudnionych było w naszym górnictwie węglowym 44.544 robotników, liczba ta w 1937 roku wzrosła do 53.670; w hutnictwie żelazo-stalowym było zatrudnionych w 1936 roku 21.293, zaś w 1937 r. 25.169; w przemyśle cynkowym cyfry odnośne wynosiły 4.075 i 4.636. Wreszcie w przemyśle przetwórczym zajętych było w styczniu 1937 roku 41.013, a w październiku tegoż roku już 57.648 osób; cyfra ta w międzyczasie z pewnością jeszcze się podniosła. Zestawiwszy wymienione liczby razem, otrzymamy za rok 1936 — 110.925, zaś za rok 1937 — 141.113, zatem liczba zatrudnionych robotników w ciągu roku ostatniego zwiększyła się o 30.128. Liczba pracowników umysłowych, poszukujących zajęcia, według sprawozdania wojewódzkiego Funduszu Pracy, wynosiła w kwietniu 1936 roku 7.853, a pod koniec marca 1937 roku 7.603, spadła więc w ciągu roku o 250 osób. Jaka była ich liczba pod koniec 1937 roku, jeszcze nie mogłem stwierdzić na podstawie danych statystycznych. Prawdopodobnie jeszcze się nieco obniżyła.

Wsparcia z Funduszu Pracy i Pomocy Zimowej pobierało według sprawozdania z działalności Wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy w okresie od 1 kwietnia 1936 do 31 marca 1937 r., przeciętnie 45.000 głów rodzin, z członkami rodzin zaś 140 do 160 tysięcy osób, przy czym najniższa cyfra pobierających wsparcie wynosiła we wrześniu 1936 roku 32.456 głów rodzin, najwyższe zaś nasilenie osiągnęła w marcu 1937 r., gdy doszła do 56.860 głów rodzin. Razem wydano na tę rzeszę bezrobotnych w ciągu roku 10.451.102 złote, na co złożyły się: Fundusz Pracy w wysokości 6.397.955 i Pomoc Zimowa z 4.053.147 złotych.

Tak przedstawiają się nagie cyfry, dotyczące stanu bezrobocia i wydatków na nie w roku ubiegłym. Ponieważ liczba ludności, jak niemal wszędzie indziej, tak i w naszym województwie stale się zwiększa i w ciągu ostatnich pięciu lat podniosła się okrągło o 100 000 głów według podania wojewody dr. Grażyńskiego, a przy tym jest rzeczą wykluczoną, by przemysł mógł jeszcze wchłonąć jakąś większą liczbę poszukujących pracy, dochodzimy do smutnej konkluzji, że nawet przy najlepszej koniunkturze nie będzie on w stanie zatrudnić wszystkich osób poszukujących pracy. Przeto owa liczba 82.000 bezrobotnych u nas o mało co się zmniejszy. A przecież wiecznie nie będziemy mogli urządzać składek na bezrobotnych! Będziemy tedy musieli rozejrzeć się za nowymi sposobami, dzięki którym będziemy mogli zatrudnić nadmiar naszego przyrostu naturalnego i już teraz skazanych na bezrobocie rzesz chętnych i zdolnych do pracy. Według mojego zdania służyć nam mogą ku temu następujące środki:

W pierwszym i głównym rzędzie będziemy musieli zakładać osiedla dla robotników, i to głównie dla robotników pracujących i mających widoki stałego zatrudnienia. Dla czego właśnie dla tego rodzaju robotników, zobaczymy poniżej.

Następnie wchodzić będzie w rachubę przenoszenie kwalifikowanych robotników do Centralnego Okręgu Przemysłowego w Sandomierszczyźnie i do ewentualnie mogących powstać jeszcze innych okręgów przemysłowych dalej na wschodzie naszej Rzeczypospolitej.

W dalszym ciągu będzie trzeba pamiętać o osiedlaniu robotników niekwalifikowanych a zdatnych do rolnictwa, na słabo zaludnionych obszarach naszych ziem wschodnich. Tu jednak powinniśmy pamiętać, że bez odpowiednich środków komunikacji, bez szkół i kościołów ludności naszej z dzielnic zachodnich na wschód nie przeniesiemy w większej masie, bo bez tych środków kulturalnych nie będziemy mogli zachęcić jej do emigracji na wschód.

Pewna część bezrobotnych, przy sprzyjających warunkach, szukać będzie zajęcia w przemyśle francuskim, belgijskim lub holenderskim, jak się to dzieje od samego początku przyłączenia Śląska do Polski. Bezpośrednio bowiem po tym fakcie musieli udawać się do tych krajów nasi najdzielniejsi działacze polityczni, bo po plebiscycie i powstaniach, zarządzający zakładami przemysłowymi Niemcy odmawiali przyjęcia do pracy każdemu, o kim wiedzieli, że był politycznie czynny dla sprawy polskiej. Ta emigracja za granicę Państwa, zwłaszcza, gdyby miała być stała, jest najmniej pożądana, gdyż pozbawia kraj dzielnych sił roboczych i doskonałych patriotów, którzy mogą mu dać znakomitego obrońcę w razie wojny. Takich dzieci Ojczyzna nie powinna się poz-

bywać, zwłaszcza, gdy równocześnie patrzymy na rozpieranie się na naszej ziemi żywiołu pasożytniczego, który przede wszystkim winien być wyeliminowany zpośród nas.

W rozprawie niniejszej zajmę się wyłącznie sprawą tworzenia osiedli dla robotników na terenie, który — zdaniem moim — winien sięgać nieco dalej niż obecne rozmieszczenie naszego wielkiego przemysłu, ale mimo wszystko pozostaje z nim w najściślejszym związku. Mam na myśli takie granice tego terenu: Zacząwszy od Wielkiej Dąbrówki, Siemianowic, Małej Dąbrówki, Szopienic i Mysłowic z okolicą na wschodzie, ciągnąłby się aż do granicy niemieckiej na zachodzie, zaś od Tarnowskich Gór poprzez Radzionków na północy aż po Wielki Chełm, Tychy, wszystkie trzy Łaziska i Orzesze na południu, z Ornontowicami, Gotartowicami i Knurowem ku północnemu zachodowi, tu znowu aż do granicy niemieckiej. To byłby według mnie okręg główny, któremu dla krótkości możnaby nadać nazwę wspólną „Przemysłowice". — Drugi, mniejszy okręg należałoby stworzyć w okolicy Rybnika w czworoboku, tworzonym przez w niektórych miejscach wygiętą na zewnątrz linię, biegnącą od Rybnika przez Chwałowice i Boguszowice ku Wodzisławiowi na wschodzie, stąd do Pszowa na południu, stąd do Rydułtów i Czernicy na zachodzie, a wreszcie stąd do Rybnika na północy. Znów dla krótkości nazwałbym ten okręg okręgiem rybnickim albo wprost Rybnikiem Wielkim.

II. PODSTAWY PRAWNE, URZĄDZENIE I ZAGOSPODAROWANIE OSIEDLI.

1) Rozmiar osiedli.

Każde osiedle robotnicze musiałoby obejmować 5.000 metrów kwadratowych czyli dwie morgi magdeburskie. Front takiej parceli pod osiedle winienby zasadniczo mierzyć 50 a głębokość 100 metrów, o ileby wymagania terenowe nie dyktowały innej szerokości i długości. Z takiej parceli należałoby przeznaczyć pod dom i przylegającego do niego od strony podwórka skromnego budynku gospodarczego mniejwięcej 100 metrów, na kwietnik przed domem od ulicy około 200, a na podwórko 300 metrów kwadratowych. Na chodnik przed domem i ulicę odpadłoby mniejwięcej 200 metrów kw., tak, że na ogródek, sad i ścieżki między poletkami pod uprawę ogrodniczą pozostałoby około 4.200 metrów kwadratowych, a więc z górą półtorej morgi magdeburskiej. Jest to kawałek ziemi, który przy należytej opiece i uprawie wymaga poważnego i ciągłego nakładu pracy członków rodziny osadniczej, z wyłączeniem głowy rodziny, która ma pracować normalnie w przemyśle, a tylko wolne chwile od pracy zawodowej winna poświęcać zajęciom na parceli. Taki robotnik — parcelista miałby w przyszłości zajęcie poboczne, gdyby kiedyś dzień pracy w przemyśle miał być skrócony na przykład do sześciu godzin. Nie marnowałby drogiego czasu, który przecie jest pieniądzem.

Wzdłuż płotów granicznych parceliści winni według możności sadzić krzaki owocowe, jak porzeczki, agrest, maliny, jeżyny, głogi etc., które dają bądź owoc świeży, bądź nadają się znakomicie do wytwarzania smacznych i zdrowych win owocowych, szczególnie porzeczki, jeżyny i głóg. Wzdłuż ścieżek należałoby sadzić nisko-pienne drzewka owocowe, nisko-pienne dla tego, że rodzą corocznie, a cieniem i korzeniami nie przeszkadzają sadzonym opodal jarzynom w takiej mierze, jak to jest u drzew wysokopiennych. Doskonale obmyślony i ułożony przez Śląską Izbę Rolniczą plan powinien dać parcelistom owoce na własną konsumcję i na sprzedaż od początku lata aż do późnej zimy. Ziemniaki, sałaty, kapusty, marchew i marchewka, buraki i ćwikła, cebula i inne jarzyny mogą zapewnić na cały rok wyżywienie dla rodziny parcelisty, dla jednej lub dwóch kóz, które mogą jej dać prawie przez cały rok zdrowe mleko, hodowla zaś królików i ewentualnie wieprzka przez pewien czas roku mięso. Hodowlę kur zalecałoby się tylko pod obostrzonym warunkiem, że nie będą miały wolnego wybiegu i będą zamknięte w wysokim opłoceniu drucianym, bo inaczej zniszczą swym grzebaniem część roboty ludzkiej w ogrodzie a nieraz mogą wywołać niesnaski, kłótnie i nawet procesy między sąsiadami.

2. Ziemia pod tworzenie osiedli i dziedziczne prawo do budowy.

Pierwszym pytaniem, które każdy stawi przy rozważaniu projektu, będzie: skąd weźmiemy ziemię pod tworzenie osiedli i kto za nią zapłaci? Otóż zdaniem moim ziemi na zakreślonym przeze mnie obszarze mamy kilkanaście tysięcy hektarów, z których można stworzyć od 40 do 50 tysięcy osiedli, **pod warunkiem jednak, że jej się nie rozparceluje przedwcześnie w inny sposób i na inne cele.**

Przede wszystkim mamy jeszcze w naszym obwodzie przemysłowym, razem wziąwszy, duże szmaty ziemi, które leżą odłogiem jako nieużytki i swym wyglądem szpecą całą okolicę. Ogromne zapadliska a obok nich bezużyteczne góry hałd leżą obok siebie. Te tereny należałoby przy pomocy bezrobotnych zniwelować a następnie uprzystępnić pod uprawę, podzieliwszy je na wspomniane wyżej parcele-osiedla. Roboty takie pochłoną wprawdzie pewne dosyć poważne sumy, ale czy darmowe wspieranie bezrobotnych, powtarzające się z roku na rok, nie zjada corocznie milionów? Niech każdy, kto bierze wsparcie, je odrobi. W tej materii ustawodawstwo w razie potrzeby winno przyjść z pomocą i ułatwić prace niwelacyjne.

Resztę potrzebnej pod osiedla ziemi można uzyskać na podstawie ustawy o Wykonaniu Reformy Rolnej i Niemieckiego Kodeksu Cywilnego, który wciąż jeszcze u nas obowiązuje i winien nadal obowiązywać conajmniej, o ile chodzi o ten jego rozdział, który włączono w niego jako „Rozdział Czwarty Księgi Trzeciej" pod nagłówkiem: „Erbbaurecht" („Dziedziczne Prawo do Budowy"). Jest to niezmienione pierwotne Rozporządzenie Niemieckiej Rady Związkowej z 15 stycznia 1919 roku, a więc wydane bezpośrednio po wojnie światowej w interesie klas wydziedziczonych. Na mocy swego § 35 zostało ono włączone do Niemieckiego Kodeksu Cywilnego jako prawo powszechne i odtąd zastępuje jego dawne §§ 1012 — 1017, które równocześnie zostały zniesione.

W niniejszej rozprawie nie mogę wdać się w omówienie całego rozporządzenia — ustawy, muszę zadowolić się głównymi wytycznymi, szczególnie, gdy zważymy, że równocześnie i równorzędnie trzeba będzie stosować polską ustawę o Wykonaniu Reformy Rolnej, gdyż ona winna służyć za podstawę do stosowania odnośnych przepisów Niemieckiego Kodeksu Cywilnego.

Ustawa polska o Wykonaniu Reformy Rolnej winna zapewnić Urzędowi Wojewódzkiemu potrzebne obszary ziemi pod parcelację dla osiedli. Ustawa niemiecka zaś winna dać właściwą treść przy tworzeniu samych osiedli. Jedna więc i druga uzupełniają się wzajemnie i jedna bez drugiej nie doprowadziłaby do pożądanego rezultatu. Tyle na wstępie uwag natury ogólnej. A teraz rozpatrzmy choć pobieżnie główne przepisy ustawy niemieckiej, będącej w naszym wypadku ostatecznym, doprowadzonym do doskonałości wykonaniem ustawy polskiej o Wykonaniu Reformy Rolnej.

Według § 1 ustawy niemieckiej można obciążyć cudzą własność ziemską **w dowolnej, wykrojonej z niej wielkości** na korzyść innej osoby **zbywalnym prawem dziedzicznym,** mocą którego taka osoba może na tak przydzielonym kawałku cudzej ziemi postawić budynek mieszkalny czy jakibądź inny. Jest to więc znana z prawa rzymskiego superficies. W dodatku do ziemi potrzebnej pod budowę domu i innych zabudowań, można jeszcze dołączyć dalszy kawałek ziemi, tak jednak, żeby budynek stanowił główną część prawa do budowy a gospodarowanie na przydzielonej ziemi było dodatkiem. Uprawniony do budowy może odstąpić pod pewnymi warunkami swe prawo osobom trzecim albo przekazać je na mocy prawa spadkowego swym spadkobiercom. Co zaś najciekawsze to to, że według § 5 nabywca prawa do budowy może obciążyć dzierżawioną przez siebie parcelę hipoteką, i to hipoteką amortyzacyjną, dzięki której może zbudować sobie dom mieszkalny i inne budynki gospodarcze. Dla tak stworzonych hipotek sądy muszą zaprowadzić kartę księgi gruntowej, w której zapisuje się każdorazowego właściciela prawa do budowy czyli dzierżawcę parceli, wysokość obciążenia hipotecznego itd (§ 14). Za parcelę nie płaci się gotówką, lecz uiszcza się roczny czynsz dzierżawny, który musi być z góry unormowany na przeciąg całego długoletniego terminu dzierżawnego (§ 2). Termin trwania dzierżawy, prócz tego, że musi być długoletni, nie jest bliżej określony przez ustawę, może zatem według **uświęconego przez prawo rzymskie zwyczaju** trwać nawet 99 lat, a dzierżawa sama może być po upływie terminu odnowiona na dalszy długoletni termin. Wysokość hipoteki (§ 19) nie może przekraczać połowy wartości prawa do budowy. Wartość ta równa się połowie wartości wzniesionego budynku oraz połowie wartości skapitalizowanego czystego dochodu z czynszu mieszkaniowego, jaki przynosi budynek z jego ewentualnymi przyległościami i wzorowa gospodarka na przyłączonej do budynku ziemi. Weźmy przykład: Budynek kosztuje 7.500 złotych. Połowa tej sumy daje więc 3.750 złotych. Miesięczny czynsz mieszkaniowy wraz z zabudowaniem gospodarczym można śmiało obliczyć na 20 złotych, czynsz roczny zatem na 240 złotych. Przy skapitalizowaniu tej sumy po upływie 25 lat otrzymamy: 25 razy 240 jako iloczyn 6.000 zł. Połowa tej sumy czyli 3.000 zł. daje więc wymienioną w ustawie połowę skapitalizowanego czynszu mieszkaniowego. Wreszcie licząc dochód z uprawy ogrodniczej w wysokości 200 zł. w roku, otrzymamy przy kapitalizacji w ciągu 25 lat, razem 5.000 zł., połowa tej sumy, jak jej wymaga prawo, wynosi zatem 2.500 zł. Gdy teraz wymienione trzy pozycje: 3.750, 3.000 i 2.500 zsumujemy, otrzymamy 9.250 zł. Jest to właśnie owa wymieniona przez ustawę w jej § 19 połowa wartości prawa do budowy. Do tej też wysokości możnaby prawie zaciągnąć hipotekę. Jednakże § 19 ustęp 2 robi zastrzeżenie, że od tej kwoty należy potrącić skapitalizowany czynsz dzierżawny, i to za cały czas dzierżawy. Moim zdaniem roczna opłata dzierżawna za ziemię nie powinna wynosić u nas więcej jak 20 złotych od morgi magdeburskiej, zaś termin dzierżawy nie powinien być dłuższy nad 60 lat, tym bardziej, że można dzierżawę przedłużyć o dowolny dalszy termin, a więc ewentualnie znowu o 60 lat. Przyjąwszy tedy roczny czynsz dzierżawny od dwóch mórg w wysokości 40 zł., a długość dzierżawy na lat 60, otrzymamy skapitalizowany czynsz dzierżawny w wysokości 2.400 zł. Tę więc sumę należy potrącić od owych 9.250 zł., a otrzymamy kwotę, do której wysokości można zaciągnąć hipotekę. Wynosi ona 7.850 złotych, a więc mogłaby być wyższa, niż według mojego obliczenia wynosiłyby koszta budowy. Prawo robi jeszcze jedno zastrzeżenie. Wartość prawa do budowy, a zatem w naszym wypadku 9.250 zł., nie może przekraczać skapitalizowanego czynszu mieszkaniowego. Jak wysoką by-

łaby według naszej kalkulacji ta kwota? Ponieważ dzierżawa ma trwać 60 lat, a czynsz mieszkaniowy wynosi rocznie 240 złotych, więc dałoby to 14.400 zł. Zatem i tu moje obliczenie czyni zadość wymaganiom prawa, gdyż brak jeszcze do tej sumy przeszło 5.000 złotych.

Hipotekę prawo uważa za pupilarnie pewną, jeżeli jest hipoteką amortyzacyjną (§ 18). Spłata amortyzacji musi się rozpocząć z początkiem czwartego roku kalendarzowego od udzielenia pożyczki wzgl. wystawienia hipoteki, a musi być dokonana najpóźniej 10 lat przed upływem dzierżawy, dającej dziedziczne prawo do budowy. Przy 60-cioletniej dzierżawie termin spłacalności amortyzacyjnej mógłby więc wynosić 46 lat, uwzględniając właśnie czteroletnią karencję początkową przy spłacaniu i ostatnie 10 lat już wolnych od amortyzacji. Zdaje mi się że przy 1% stopie umarzającej, kapitał spłaca się właśnie w ciągu 46 lat. Gdyby było inaczej, procentowa stopa amortyzacyjna musiałaby być nieco podwyższona.

Uważam, że tylko tacy robotnicy, którzy mają zapewnioną pracę, powinni otrzymywać osiedla, gdyż tylko oni będą w stanie opłacić procent amortyzacyjny i procent od kapitału. W dodatku parceliści nie powinni dostać pożyczki w pełnej wysokości wyliczonej przeze mnie hipoteki, lecz winni wpłacić jakąś niewielką kwotę przy przydzieleniu im osiedla, na przykł. conajmniej 500 do 700 złotych własnej gotówki. Tacy bowiem ludzie dać mogą gwarancję, że będą obchodzili się z przydzielonym im gospodarstwem jak ze swym najdrogocenniejszym dobrem i że w przyszłości będą spłacali sumiennie przypadające na nich raty procentowe i należący się właścicielowi ziemi czynsz dzierżawny, bez względu na to, kimby on był. Kto nie będzie wywiązywał się z przyjętych na siebie obowiązków, musi się usunąć i zrobić miejsce godniejszemu i sumienniejszemu osadnikowi; z góry trzeba wpoić w ludzi święte przekonanie, że dzieło tu projektowane jest wprawdzie poczynaniem humanitarnym, ale nie ma nic wspólnego z jałmużnictwem i darowizną. W krew naszego ludu musi wsiąknąć przekonanie, że za wszystko, co się bierze, trzeba płacić.

Po tym niezmiernie ważnym zastrzeżeniu zasadniczym idźmy dalej w naszym rozważaniu rachunkowym. Przypuściwszy, że domek mieszkalny o dwóch pokojach, kuchni z przedsionkiem, piwniczką, strychem i skrytkami oraz z przybudówką gospodarczą nie przekroczy kosztu 7.500 zł. i że osadnik-parcelista będzie musiał wpłacić przy obejmowaniu conajmniej 500 zł., możnaby odnośnie reszty obciążyć całe gospodarstwo długiem hipotecznym w wysokości 7.000 zł. Procent od tej pożyczki nie powinien przekraczać 2% w stosunku rocznym, na amortyzację przewiduję 1%, a na koszty administracyjne jednę czwartą procentu, razem więc trzy i jednę czwartą procentu. Daje to od 7.000 zł. — 227,50 zł. Do tego dochodzi czynsz dzierżawny za dwie morgi ziemi w wysokości 40 zł., razem więc 267,50 zł. Podzieliwszy tę kwotę przez 12, otrzymamy 22.50 złotych opłaty miesięcznej, którą parcelista-osadnik względnie jego prawni następcy będą musieli płacić stale przez 46 lat, po czym będą mieli cały dług spłacony a uiszczać będą tylko roczny czynsz dzierżawny w wysokości 40 zł.

Ponieważ z biegiem czasu osadnik-parcelista wzgl. jego następcy będą mogli budynek dowolnie rozbudować i powiększyć, zamieszkać będzie mogło na tej samej parceli więcej, niż jedna rodzina, np. żonaty syn lub zamężna córka. Przy tym zaraz przy zawieraniu kontraktu dzierżawnego będzie można według ustawy zawrzeć ugodę odnośnie nabycia parceli na własność wzgl. jej ponowną dzierżawę (§ 2 punkty 6 i 7). W ten sposób osadnik otrzyma w rzeczywistości wielkie dobrodziejstwo, które winno napełnić go otuchą na dalszą drogę żywota. Nie będzie to wprawdzie żadne bogactwo, ale mieć będzie przyzwoity dach nad głową wraz z możnością przetrwania złych czasów, które przyjść mogą, bo będzie miał możność wyżywienia się z ogrodu i sadu przy zapobiegliwej, skrzętnej gospodarce.

Przy takiej parcelacji osadniczej bezrobotni także zyskają, o czym będzie mowa poniżej. Wspominam o tym już teraz, by od razu odebrać krytykom argument, że nie ma ona nic wspólnego z usuwaniem bezrobocia. Proszę czytać rozprawę do końca, a każdy będzie musiał przyznać, że projekt mój jest realny i walnie przyczyni się do usunięcia obecnej u nas nędzy mieszkaniowej i do powolnego zażegnania gnębiącego nas wszystkich bezrobocia.

(Dokończenie nastąpi)

A. Juźwik.

W piątą rocznicę Związku Peowiaków na Śląsku!

(Wrażenia osobiste).

W 1932 r. przydzielono mnie służbowo do Katowic.

Śląska do tego czasu nie znałem z osobistego zetknięcia — kiedyś za czasów młodości i niewoli należałem do kółka samokształceniowego Zarzewia — zbieraliśmy wtedy drobne uczniowskie składki na pracę narodową na Śląsku, a w czasie Zlotu Grunwaldzkiego widziałem Sokołów z tej starej dzielnicy polskiej. Później borykając się z innymi i na innych terenach w walce o niepodległość, słyszałem niejedno o Śląsku.

Wydawał mi się najeżony kominami i zadymiony, pełen głównie robociarzy polskich z mocną krzepą na wroga — kierowany i wyzyskiwany przez żelazny zastęp Niemców. Wioski — i malowniczego ludu tej ziemi jakoś nie mogłem zobaczyć oczyma swej duszy, wiedziałem tylko, że jest bardzo religijny i bardzo mocny przy wierze ojców i języku polskim — niemal archaicznym.

Kiedy pociąg się zbliżał do Katowic — myślałem o Ślązakach, jak n. p. o Mazurach albo Poznańczykach, był to już o rok po przyłączeniu ich części do Polski. Na wspomnienie tych, którzy zostali, serce boleśnie się ściskało . . .

I próbowałem wyobrazić sobie, jak to jest z tymi, którzy tyle lat już razem z nami, z resztą Polski cieszą się wolnością?

Pewnie zakrzątali się żywo i z precyzją majstrów wyszkolonych na wielkim przemyśle zabrali się do gospodarowania wielkim bogactwem, które dla Polski zdobyli.

A na wsi pewnie żyją i pracują pełni zapału i zachwytu, że im już teraz wszystko wolno: i śpiewać, i mówić, i uczyć się po polsku. Mój Boże, tyle lat się nacierpieli, jakże rozumieją i jakże cenią wolność i własne, pomyślmy, własne Państwo, Polskę Niezawisłą.

I jak zawsze, wyobraźnia zgotowała mi wiele niespodzianek . . .

Po miesiącu, po dwóch, trzech zaczynałem poznawać **rzeczywistość**, a pamiętajmy, że był to rok 1932.!

Więc najpierw w miastach przemysłowych: na ulicy, w lokalach, w tramwaju język . . . niemiecki — polskim rzadko, jakże rzadko i cichutko odezwał się jakiś robociarz lub mieszczka. Na stacjach, targach i w sklepach obok niemieckiego . . . **żargon;** szwargocący nim w chałatach i z pejsami! W fabrykach, hutach i zakładach przemysłowych od majstra do dyrektora, osoby nieznające, czy nie chcące znać języka polskiego; między sobą na szczęście mogli robotnicy tym językiem mówić . . .

Na wsi, na zapytanie: ktoście wy, jaki naród, nie można było uzyskać odrazu szczerej odpowiedzi.

Wyrzekając się wszelkiego związku z niemczyzną, podkreślano swoje pochodzenie dzielnicowe.

I dowiedziałem się wówczas:

1) żem „gorol",

2) żem przyszedł im chleb zabierać,

3) że niewiadomo jak to jeszcze tam będzie z Polską,

4) że są biedni,

5) że chleb im daje i dać może tylko Niemiec

I znowu serce mi się ściskało boleśnie, ale przypomniałem sobie dawne dzieje Śląska i szukałem dalej.

Byłem w jednym z kościołów — trafiłem umyślnie na kazanie.

Zobaczymy — pomyślałem — co do nich mówią.

Mój Boże, usłyszałem ten język z ambony, mówił nim ksiądz, przysięgam ksiądz — a było to w Józefowcu: takim żargonem, takim okaleczałym językiem mógł mówić tylko analfabeta. Jak oni go rozumieli, ci wszyscy ludzie w kościele?!

Ale . . . szukałem dalej.

Już wiedziałem, że jestem **przybysz i obcy.**

Słyszałem jak w poprzednim roku zbili kilku w tramwaju za to, że mówili poprawnie po polsku: było to w drodze do Załęża . . .

Zacząłem szukać organizacyj.

I tu dopiero zaczęło się: wszystkie odcienie i gatunki partyj i partyjek, wszystkie narowy i zaciekłości — podobnie jak w całej Polsce z tym tylko zabarwieniem wziętym z Niemiec z tych czasów, kiedy to jeden człowiek należał najmniej do 17 organizacyj.

I wtedy to zobaczyłem jakiś dziwny Śląsk. Niczym nie różnił się już w moim pojęciu od pierwszej lepszej dzielnicy Polski.

Miał przy tym jeden jeszcze „posmaczek" w tych latach: cichym albo jawnym bożyszczem jego był Korfanty, a o Piłsudskim mówić wtedy — to znaczyło być „gorolem", można było przy jakim takim szczęściu dostać gdzieś w kącie cegłą w łeb!

Aż wreszcie: Piłsudski!

To był symbol, to było imię i dźwięk, który dopiero stał się dla mnie kluczem do zrozumienia, co się dzieje na Śląsku.

Przez to imię znalazłem tych, którzy tą ziemię tyle razy i przez tyle ofiar krwawych dla Polski zdobywali, znalazłem tych, którzy spotkali mnie i mówili ze mną **jak bracia i jak Polacy,** znalazłem tych, którzy wszystko dla Polski poświęcili i jeszcze gotowi byli się poświęcać, choć już, biedacy, nic nie mieli — pozornie!

Pozornie, bo w rzeczywistości mieli jeszcze to, co jest największym skarbem na ziemi, to, czego żaden bogacz na tym bożym świecie ani nie kupi, ani nie opłaci — mieli Serca, Polskie Serca!

Byli to Peowiacy! Byli to Powstańcy i starzy działacze na niwie narodowej!

Oni mi dopiero prawdziwy, bohaterski i polski Śląsk pokazali.

Dopiero przez nich danym mi było dojść do tego źródła orzeźwienia i mocy polskiej. Stało się to dopiero po roku.

Odtąd postanowiliśmy się połączyć, odbudować we wspólnym, ogólno-polskim związku peowiaków i rozpoczęliśmy pracę.

Pracę nie tylko dla siebie i dla wspomnień, jak to czynią zwykle inne związki.

Postanowiliśmy:

1) zebrać się całą gromadą, jaka nas tu jest, a gromada to niemała i

2) iść z czynem do społeczeństwa.

Z czynem, albowiem nie uważaliśmy się za starych dziadów wojennych, którzy już tylko chwalić się umieją.

Od tego społeczeństwa nie chcieliśmy i nie chcemy nic, ale sami mu niesiemy:

— imię **Jednej** Polski,

— Jej **moc** przez zgodę i zwalczanie partyjnictwa,

— Jej symbol i wskazanie: Józefa Piłsudskiego.

Cośmy przez tych 5 lat zrobili, niech nas osądzą lata przyszłe, ale kiedy będą nas sądzić niech pamiętają o jednym: mamy Serca i serca nasze biją tylko dla Polski.

Szczęść Boże w dalszej walce, Peowiacy!

J. Gr.

DOBRY SZEF

Był kiedyś szef, który ze swymi pracownikami tak się obchodził, jak gdyby byli członkami jego własnej rodziny. On nie szczypał ich nigdy złemi słowy, ponieważ rano miał zgorszenie z żoną. Nie robił też zgryźliwej ani gniewnej twarzy, jakby chciał skrzyczeć każdego, kogo spotka. Nie, on zawsze miał twarz wesołą i uśmiechał się, co widząc jego ludzie, kiwali radośnie głowami i ochotnie trudzili się nad swoim dziełem. Szefowi przynosiło to pożytek, bo wszystko, co planował i zrobić chciał, zostało dobrze wykonane. Ale szef ten nie był bogiem, jeno zwykłym śmiertelnikiem, jak wszyscy ludzie. Więc czasem zdarzyło się, że chciał błąd popełnić. Od tego ustrzegli go zawsze jego pracownicy, bo bez obawy mogli wejść do jego biura i powiedzieć, co uważają za złe lub nie zupełnie dobre. A szef był wtedy zawsze uprzejmy, słuchał uważnie, jakiego zdania są pracownicy i co proponują. Potem rozmyślał nad tem, co słyszał i z tego rozważania powstało to, co jemu przyniosło rezultat: dobrą robotę własną i pracowników. Tu i ówdzie szef zdobył się też na słowa uznania i pochwały wobec wszystkich, a jeśli musiał kogoś zganić, to zrobił to w cztery oczy. Ani jeden z pracowników nie trząsł się ze strachu, gdy szef się doń zbliżał. On był dla wszystkich swych podwładnych prawdziwym przyjacielem. Niezadowolenie i niechęć do pracy, były to rzeczy nieznane w tym zakładzie. Szef miał jeszcze inną zaletę. Udzielał swym pracownikom nie tylko dobrych rad, lecz był też czynnie pomocnym. Jeśli się zdarzyło, że ktoś nie z własnej winy wpadł w finansowe trudności, na przykład z powodu choroby żony lub dzieci, wtedy szef zawsze był na miejscu. Przyznawał on i kazał wypłacić gratyfikację, przez co nieszczęściem dotkniętemu zawsze skutecznie pomógł. Przez porządność szefa, pracownicy również byli porządni i jego dobroci nie nadużywali. Rozumieli bowiem dobrze, że nie chodzi tu o jakieś wyróżnienie, lecz potrzebną pomoc w biedzie. Pomiędzy pracownikami nader rzadko zdarzały się kłótnie lub przychodziło do swarów. Nie obrzucano się wzajemnie wyzwiskami i błotem, lecz poważnieni przychodzili do sędziego zakładu, którym był szef! On wysłuchał poważnionych, przywołał świadków, potem o sprawie wyrobił sobie własne zdanie i poważnionym przemówił do sumienia. A kto miał słuszność, powiedział otwarcie, bez osłonek. Nie żądał on nigdy, żeby uważany był za człowieka nieomylnego, bo szef ten nie był zarozumialcem, jeno mężem sprawiedliwości. A jeśli się zdarzyło, że coś źle zrobił, wtedy otwarcie przyznał się do błędu, mówiąc: omyliłem się! W przyszłości będziemy się strać wszystko lepiej zrobić, błędów unikać! — Rano szef wchodził do zakładu z uprzejmem pozdrowieniem. Tu i tam dowiadywał się o żonie i dzieciach. Zagadnięci odpowiadali z uczuciem radości, a szef słuchał uważnie. Ogólnie nie miał on tego nawyku, żeby słuchał półuchem, gdy ktoś do niego mówił, chociażby to były rzeczy błahe, drobnostki. Miał on sekretarkę. Była to brzydka, ale bardzo rozumna, pracowita i porządna osoba. Gdy pewnego dnia zrobiło się jej niedobrze i mróz po niej chodził, szef kazał jej natychmiast pójść do domu i położyć się do łóżka. Potem sam załatwił najpilniejsze listy handlowe. Nazajutrz sekretarka przybyła znowu do biura, zdrowa jak pieniądz. Bo zrobiła tak, jak szef radził — w domu wypociła zaczątki grypy, czyli po starośląsku: zimnicy. — Jeżeli szef pracował, to oczywiście znał tylko jedno: robotę! Nie pozwolił też nikomu próżnować, ale pod względem pracowitości i sumienności był on dla

wszystkich pracowników wzorem i przykładem. Pracownicy lubili szefa, a on swych pracowników. W zakładzie tym było tak jak w dobrej, przykładnej rodzinie, w której szef był ojcem, a pracownicy dziećmi. Korzyść z tego miały obie strony.

* * *

Po przeczytaniu powyższego opisu, czytelnicy napewno powiedzą, że takiego szefa nie było jeszcze i niema w Polsce, jak długa i szeroka. Redaktor „Placówki", chcąc nie chcąc przyznać musi, że opowieść o „dobrym szefie" jest bajką, ale bajką, która stanie się rzeczywistością. A stanie się wetdy, gdy wszyscy Polacy będą sobie braćmi, gdy zwierzchnik i podwładny jedno będą mieli na oku: dobro społeczne. I gdy każdy Polak sumiennie spełniał będzie obowiązki swego stanu — dla dobra ogółu. Ale usiłowania w tym kierunku muszą iść zgóry, nie od dołu!

Adam Asnyk.

W OBIEGU

Ludzkość w swoim obiegu słonecznym
Miewa także pełne mroku dnie,
W których, prawom podległa odwiecznym,
Mniejszą siłą żywotności tchnie.

Miewa swoją chłód niosącą jesień,
W której stygnie dawny uczuć żar,
Gaśnie płomień namiętnych uniesień
I swą jasność traci życia dar.

Otrząśnięty po ziemi się wala
Przeszłych dążeń idealny kwiat,
Rwącej myśli nie przybiera fala
I lodowych nie przerywa krat.

Pierzchły marzeń tęczowe motyle,
W gajach umilkł wdzięczny przedtem śpiew
I nadzieje, w pełnej niegdyś sile,
Jako liście opadają z drzew.

Zewsząd słychać skargi rozpaczliwe...
Zapóźnionych dawnych czasów widz
Mniema, patrząc na zmrożoną niwę,
Że już na niej nie powstanie nic.

Że serc ludzkich nic już nie poruszy,
Że kwiat uczuć, ani myśli kłos
Nie wystrzeli z głębi ludzkiej duszy
I nie zabrzmi świeżej pieśni głos;

Że nie będzie ni światła ni ciepła
I zagaśnie nawet święty Znicz,
I że ludzkość, co w mrokach oślepła,
W ludożerców zamieni się dzicz.

Lecz gdy właśnie najwięcej się szerzą
Smutne wróżby — niewiadomo skąd.
W skrzepłe serca niesie wiosnę świeżą
Niewidzialny a cieplejszy prąd.

Myśl ożywcza nagle znów wystrzeli,
Jak nieznany pojawi się bóg —
I odnajdzie namiętnych czcicieli,
Szukających nowych życia dróg.

Znowu zapał pierś ludzkości grzeje,
Znowu jasność opromienia świat,
Nieśmiertelne znów wschodzą nadzieje
I zakwita ideału kwiat!

I pieśń świeża dźwięczy znów i rośnie,
Odnajduje utraconą moc,
Głosząc sercom, bijącym radośnie,
Że już przeszła smutnej zimy noc.

Fundament wszystkich rzeczy.

Istnieje prawda, którą przez najostrzejszą logikę osłabić nie można: nikt chętnie chorym być nie chce! Każdy człowiek pragnie możliwie i zupełnem cieszyć się zdrowiem. I z życzenia posiadania zdrowia wyrosło poznanie jego wartości, o czem świadczą też nasze prastare przysłowia ludowe.

Ale tak samo nienaruszalną jest prawda, że ludzie obchodzą się z tym skarbem nader lekkomyślnie. Na przykład: akurat przy dziesiątym albo piętnastym kieliszku mówi Kuba do Bartka: „Na zdrowie!" Chociaż w następne rano bardzo dotkliwie odczuje, że przez swoją niewstrzęmięźliwość własnemu zdrowiu bynajmniej się nie przysłużył.

Zdrowie jest fundamentem wszystkich rzeczy, podstawą szczęścia każdej rodziny, siły narodu, potęgi państwa. Ogólnie też każdy polski człowiek, jeśli jest ojcem rodziny, i każda polska matka starają się wedle możności zwalczać choroby w własnej rodzinie, co dzieje się z przeświadczenia, iż prawdziwe szczęście rodzinne bez zdrowia jest nie dopomyślenia. Chore dzieci! Chora matka! Dla ojca rodziny, albo odwrotnie dla matki jest to myśl okropna! W takiej rodzinie troski trwają bez przerwy, niema zadowolenia, jeno rozpacz, nawet chociażby to była rodzina zamożna, nie doznająca nigdy głodu ani chłodu.

Co dla rodziny w małem znaczy, ma dla całego narodu takąż samą wartość. Naród składa się przecież z wielkiej liczby rodzin. A w życiu narodu, zwłaszcza narodu posiadającego własne państwo — zdrowie obywateli jest fundamentem wszystkich rzeczy. Bo: Niema polityki zagranicznej bez zdrowia ludu. Chory naród nie może być wartościowym partnerem drugiego zdrowego narodu. Rola jego w koncercie ludów jest skończoną.

Niema polityki wewnętrznej bez zdrowia ludu! Chory naród nie potrafi stworzyć silnego państwa, ponieważ nie posiada dosyć sił, żeby w zakresie tej pracy stworzyć coś porządnego i trwałego.

Niema gospodarki narodowej bez zdrowia obywateli. Chory, cherlawy lud nie może dobrze i wydajnie pracować. Praca zaś jest jedynym korzeniem każdego dobrobytu, więc każdej gospodarki.

Niema polityki socjalnej bez zdrowia ludu. Polityka socjalna jest bowiem opieką pracujących ludzi z nadmiaru dochodu z pracy pochodzącego. Chory naród nigdy nie zdobędzie potrzebnych dla polityki socjalnej nadwyżek.

Niema polityki militarno-obronnej bez zdrowia obywateli. Chory naród traci chęć do bytowania czyli życia. A ludzie bez chęci do życia nie są dzielnymi obrońcami państwa w czasie wojny.

Rodzina jest prakomórką każdego państwa. Chora rodzina przedwcześnie wymrze. Mieszkanie opróżnieje i przypada zdrowej rodzinie. Nie dopuśćmy do tego, żeby nasze rodziny były chore, bo nie potrzeba zgadywać, coby się stało. Nasze społeczeństwo wygasłoby niezawodnie, a szmat ziemi, na którym mieszkają Polacy, stałby się zdobyczą innego — zdrowego narodu.

J. Gr.

Nie mam czasu!

Twierdzę na zasadzie własnego doświadczenia, że w rozmowach z ludźmi jednym z najczęstszych zwrotów jest ten: „Nie mam czasu!" Wymówkę tę słyszemy każdego dnia u sąsiadów, przyjaciół, znajomych, słyszymy od członków naszego Związku Peowiaków Śląskich, którzy obiecali wygłosić wykład na zebraniu związkowem, opisać dla „Placówki" swoje przeżycia w czasie walk wyzwoleńczych i akcji plebiscytowej, przysłać sprawozdanie z działalności peowiackiej w gminie zamieszkania, lecz dotychczas słowa nie dotrzymali. Chcieli — ale niestety nie mieli czasu!

W tej wymówce jest jednak często wiele prawdy. Bo niejeden z naszych braci — obywateli spędził czas wolny od pracy zawodowej w gospodzie lub kawiarni, gdzie truł swoje nerwy mocną kawą, tytoniem, alkoholem. A są i tacy, co wieczory spędzili i spędzają w kinie, patrząc na płótno, na którem widzą baletnicę wśród lwów i tygrysów, które na nią ostrzą sobie zęby, widzą samobójców i warjatów, odtwarzanych najczęściej przez zagranicznego aktora podług typów z domu obłąkanych. Drudzy zaś wieczory całe zapamiętale spędzają przy kartach i są szczęśliwi, gdy karta im służy. Nic więc dziwnego, że nie mają czasu do pracy społecznej, a do obowiązków peowiackich i obywatelskich nie przywięzują wielkiej wagi.

Każdy peowiak i niepodległościowiec śląski powinien zastanowić się nad tem, czy do pracy dla pożytku ogółu i dobra Państwa — nie ma czasu! Jeśli jest szczery, to musi sobie powiedzieć: „Nie mam chęci!" Bo inaczej okłamuje samego siebie, a swemu otoczeniu nie świeci dobrym przykładem.

Nic w życiu ludzkiem nie bywa bardziej trwonione jak czas. Ale prawie każdy człowiek mówi, że „niema czasu". Na śmiech się bierze, gdy wogóle weźmiemy sobie czas, żeby nad tem się zastanowić. Wielu mniema, iż szkoda czasu na takie rozważanie. W tem tkwi zło niepoprawności. Bo co świadome, można zmienić, nieświadome — nigdy!

Nie bądź niewolnkiem, lecz panem twojego czasu!" a będziesz go miał. Wymówka: „Nie mam czasu!" nie przystoi poważnemu mężowi. A przecież każdy peowiak życzy sobie, żeby otoczenie, zwłaszcza pokolenie młodsze, właśnie bojowników o wolność ludu śląskiego uważało za mężów poważnych i godnych szacunku.

Wielu, bardzo wielu niepodległościowców śląskich, którzy orężem i słowem walczyli o przyłączenie Górnego Śląska do Polski, spoczywa pod kopcami pobojowisk lub na cmentarzach. Taki sam los spotka prędzej czy później każdego Peowiaka. Z każdym rokiem rzedną szeregi nasze. My jeszcze żyjemy! Ale zachód naszego życia się zbliża. Więc na ostatnim odcinku drogi peowiackiej wykorzystujmy czas — wszak czeka nas jeszcze sporo pracy.

ZE SKARBCA PRAWD

Chcieć być, czem być nie można, duma to jest podła,
Chcemy bogactw, wróćmy się do dawnego źródła:
Niechaj się każdy zbytków niepotrzebnych strzeże,
Nie szpeci wstrzemięźliwość i proste odzieże.
Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz złoto stemplny, ale pożyczany.

Kronika Peowiacka.

OKRĘGOWY KOMUNIKAT ORGANIZACYJNY Nr 82.

Pkt. 1. Zwołanie Zjazdu Sprawozdawczego Okręgu Śląskiego Związku Peowiaków.

Na podstawie art. 42 statutu, oraz uchwały Zarządu Okręgu Śląskiego Związku Peowiaków z dnia 17 lutego br. Zarząd Okręgu zwołuje

ZJAZD SPRAWOZDAWCZY DELEGATÓW OKRĘGU ŚLĄSKIEGO ZWIĄZKU PEOWIAKÓW do Katowic na niedzielę dnia 20-marca 1938 r.

Oddzielne zawiadomienie Kół Powiatowych o Zjeździe przesłaliśmy pismem 1. dz. 269/Sekr/38 z dnia 26. II. br.

Zjazd Sprawozdawczy odbędzie się w Katowicach w sali Domu Oświatowego T. C. L. przy ulicy Francuskiej 12 o godz. 11-tej z następującym porządkiem obrad:

godz. 11-ta: Otwarcie, zagajenie, powołanie Prezydium Zjazdu, powitanie Zjazdu.
Wspomnienie żałobne, poświęcone śp. Alfonsowi Zgrzebniokowi, oraz poległym i zmarłym Peowiakom.

1) Przyjęcie porządku obrad.
2) **Sprawozdania Zarządu Okręgu:**
   a) Prezesa,
   b) Sekretarza,
   c) Skarbnika,
   d) Kier. Sekcji Personalnej,
   e) Kier. Sekcji Bratniej Pomocy,
   f) Kier. Sekcji Społeczno-Gospodarczej,
   g) Kier. Sekcji Propagandy,
   h) Kier. Sekcji Historycznej.
3) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej,
4) Sprawozdanie Sądu Koleżeńskiego,
5) Dyskusja nad sprawozdaniami Zarządu Okręgu,
6) Uchwalenie preliminarza budżetowego na rok 1938 oraz wniosków i rezolucji.
7) Zamknięcie Zjazdu.

Zjazd poprzedzi Msza św. dla delegatów, która odbędzie się w Katowicach w Kościele garnizonowym o godz. 9.40 i złożenie wieńca na płycie Nieznanego Powstańca.

Pkt. 2. Delegaci na Zjazd Sprawozdawczy.

W Zjeździe Sprawozdawczym Okręgu Śląskiego biorą udział delegaci Kół Powiatowych wybrani na Zjazdach Kół Powiatowych w r. 1937 w stosunku 1 delegat na każdą zaczętą ilość 25 członków danego Koła Pow. (art. 74 statutu) i posiadający legitymację stałą lub zieloną.

Pozatym w Zjeździe mogą brać udział tylko ci delegaci, którzy nie zalegają ze składkami członkowskimi ponad 6 miesięcy.

Na poszczególne Koła Powiatowe przypada następująca ilość delegatów stosownie do ilości członków w danym Kole (łącznie z legitymacjami tymczasowymi (stan ewidencyjny na 1. III. 1938 r.).

1) Koło Pow. Cieszyn 32 czł., 2 delegatów.
2) Koło Pow. Katowice 1929 czł., 78 delegatów.
3) Koło Pow. Lubliniec 259 czł., 11 delegatów.
4) Koło Pow. Pszczyna 902 czł., 37 delegatów.
5) Koło Pow. Rybnik 1424 czł., 57 delegatów.
6) Koło Pow. Świętochłowice 1166 czł., 47 deleg.
7) Koło Pow. Tarn. Góry 488 czł., 20 delegatów.

Delegaci winni być zaopatrzeni przez Zarządy Kół Powiatowych w zaświadczenia stwierdzające wybór członka delegatem Koła na Zjazd następującej treści:

„Zarząd Koła Powiatowego Związku Peowiaków w . . . . . . stwierdza, że ob. . . . . . . (leg. stała, lub zielona) nr. . . . . wybrany został na Zjeździe Koła Pow. w dniu . . . . 1937 r. delegatem na Zjazd Zwyczajny i Sprawozdawczy Okręgu Śląskiego Związku Peowiaków. Zaświadczenie to uprawnia do wzięcia udziału w Zjeździe Sprawozdawczym Delegatów Okręgu Śląskiego Związku Peowiaków, który odbędzie się w Katowicach dnia 20. III. 1938 r."

Delegaci winni pozatem mieć przy sobie legitymacje członkowskie z opłaconymi składkami.

Poza zaświadczeniami, wydanymi przez Zarządy Kół **nie będą wydawane inne zaświadczenia,** a w szczególności **nie będzie wymiany tych zaświadczeń** na karty uczestnictwa w Zjeździe.

Przy wejściu na salę obrad już od godz. 10-tej będą wystawione listy kontrolne obecności delegatów.

Do dnia 12. bm. najpóźniej prześlą Zarządy Kół imienne listy delegatów uprawnionych do udziału w Zjeździe celem ewent. uskutecznienia poprawek powstałych wskutek przeniesienia delegata, wykluczenia i t. p.

Pkt. 3. Wnioski na Zjazd Sprawozdawczy Okręgu.

Wnioski na Zjazd Sprawozdawczy Okręgu Śląskiego **na piśmie** przyjmować będzie Zarząd Okręgu do dnia 122. III. br. — po tym terminie nie będą one mogły być uwzględnione. Dotyczy to również wniosków, które mają być uchwalone przez Zjazd Sprawozdawczy do przedstawienia następnie na Walnym Zjeździe Związku, który odbędzie się 14 i 15 maja br.

Za Zarząd Okręgu:

Sekretarz Okręgu (T. Małecki). **V.-Prezes Okręgu** (kpt. R. Kawalec).

ZIMA

Na tegoroczną zimę nie możemy się żalić! W okresie świąt Bożego Narodzenia mieliśmy prawdziwą zimę: śnieg spadł gęsto, były mroźne wieczory i noce, uiluminowane krociem gwiazd na niebie. Potem mieliśmy prawie całe trzy tygodnie prawdziwą wiosnę z ciepłem słonecznem we dnie i wcale niechłodne noce. I dopiero miesiąc luty przyniósł ze sobą mroźne powietrze, i śnieg grubą warstwą pokrył zmarzniętą ziemię.

Że w zimie można mieć przyjemną zabawę a zarazem bardzo zdrową, o tem wiedzą tylko chłopcy, drący buty na strudze zmarzniętej; wie młodzież, tańcująca po lodzie, jak po woskowanej posadzce; wiedzą ludzie zamożni, używający przejażdżki w sankach, gdzie siedzą otuleni w puchy i futra. Ale nie wiedzą górnicy i hutnicy! Bo pierwsi głęboko w ziemi kopią węgiel, drudzy trudzą się w hutach, tam, gdzie z czarnych kominów zieją kłęby dymu, a z pieców purpurowe buchają płomienie i świetlane padają iskry.

Gospodarze na wsi również w zimie nie próżnują! Bo dosyć jest roboty w stodole, chlewie, stajni. Muszą też zbadać, czy kartofle i buraki są dostatecznie zabezpieczone od zimna, czy niema w nich jakiej szpary. Widząc, że wszystko w porządku, dopiero wieczorem gospodarz rozeprze się na ławie, zapali fajkę, czyta gazetę, lub z sąsiadem rozmawia o polityce. Nie ulega wątpliwości, że gospodarz — rolnik bardziej z losu jest zadowolony niż robotnik przemysłowy. Poeta też mówi:

„Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa.
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój, i wierną przy sobie drużynę."

PRZEDWIOSNA.

Już na początku marca ludzie rozradowani są nadzieją wiosny. „Gdy dni się dłużą, zima odchodzi". Tak mówi stare słowo. Tak jest oddawna, przeto też nie inaczej w tym roku.

Miesiąc Luty minął. Słońce grzeje niezgorzej. Czujemy, jak w stworzeniach w przyrodzie budzi się młode nowe życie. Chociaż bywa, że także w marcu szare chmury przewalają się po niebie, siekąc deszczem, a nawet garściami śniegu — wiemy, że są to ostatnie podrygi zimy.

Aniela Wolna.

POLSKA MOWO!

O słodka nasza polska mowo,
Cóż ma piękniejszy nad cię dźwięk?
Czy cię wyraża matki słowo,
Czy ci wtóruje szabli brzęk,
Zawsze jednako jesteś droga,
I żadna obca siła wroga,
Ciebie nie wyrwie z naszych serc.

Tyś wiodła nas po zwycięstw szlaku,
Przed twoim dźwiękiem tatar drżał,
Gdy Jan Sobieski w krzyża znaku,
Pod Wiedniem z swojem wojskiem stał.
Tyś prowadziła do zwycięstwa,
Tyś zawsze dodawała męstwa,
Bo jesteś spójnią polskich serc.

Ty w dniach ucisku i niedoli,
Gdy nam zagrażał cały świat,
Gdy naród skuty był w niewoli,
A wkoło niego pełno zdrad,
Zawsze jednako byłaś droga
I żadna obca siła wroga
Cię nie wyrwała z naszych serc.

Już wolno wzbił się orzeł biały,
Nie skuje go już żaden wróg.
Że bronić będziem jego chwały
I polskiej mowy, świadkiem Bóg.
Wrogów zamiary nas nie straszą,
Będziemy bronić Polskę naszą
Aż do ostaniej kropli krwi.

Spadochron w zakresie lotnictwa

Ważnym bardzo wynalazkiem w zakresie lotnictwa jest spadochron, który, jak wiadomo, ma kształt parasola. Sama sprawa zastosowania spadochronu przy balonach i aparatach lotniczych nie jest bynajmniej nowa. Ten faktor nowoczesnego lotnictwa jest prastary i dawniej sztuka spadochronowa wykonywaną była przez wędrujących kuglarzy. Sprawozdania z wieku dwunastego opowiadają o zamorskich linoskoczkach, którzy ze znacznej wysokości spuszczali się na ziemię przy pomocy spadochronu.

Ucieczka z więzienia.

Więźniowie często posługiwali się spadochronem przy ucieczce z więzienia. W roku 1617 w Wenecji zeskoczył z wysokiej baszty niejaki Faustus Veranzio, trzymając się spadochronu, który sporządzony był przez tegoż więźnia z drewnianej kwadratowej ramy i płótna.

W siedmnastem stuleciu usiłował wydostać się z fortu Milon pewien pojmany Francuz. Prawdopodobnie miał on nadzieję, że spadochron poniesie go dalej, za Izerę, i dopomoże mu do lądowania w bezpiecznem miejscu. Ale spadochron zawiódł, a jeniec spadł wprost w kupę żołdaków, którzy go ścigali.

Niezwykłe widowisko.

W Berlinie wywołał wielkie zdziwienie wynalazek braci nazwiskiem Montgolfier, którzy w dniu 5 czerwca 1783 roku puścili w powietrze balon napełniony rozgrzanem powietrzem w pobliżu miejscowości Annonay. Ale skok z balonu przy pomocy spadochronu został w Berlinie wykonany dopiero 23 maja 1804 roku w związku z podróżą napowietrzną profesora Bourguet. Tenże profesor wzniósł się w powietrze balonem, który miał kształt kuli, i z bardzo znacznej wysokości wyskoczył z kosza ze swym spadochronem i lądował bez szwanku ku zdumieniu wielkiej kupy berlińczyków.

Kilka lat przedtem lotnik berliński wykonał próbę spadochronową w ten sposób, że z wysokości 900 metrów zrzucił z balonu spadochron, do którego przymocowany był kosz z trzema psami. Pieski ujadały zawzięcie, lecz lądowały, przyczem nie zostały okaleczone. Potem zrzucono w ten sam sposób koty, myszy, wreszcie dużą małpę, a wszystkie zwierzęta odbyły tę niezwykłą podróż również szczęśliwie i ku uciesze licznych gapiów.

Czerwonoskóry człowiek.

Dano mu nazwisko Rolla, jednakże nie był to żyjący człowiek, jeno drewniana figura, odziana strojem amerykańskiego dzikusa. Rolla trzymał ręce nad głową, a do każdej ręki przymocowany był balon napełniony gazem. Nogi i ręce były ruchome, a gdy na wysokości 700 metrów prąd powietrza się zmieniał i przybierał na sile, tedy Rolla rękami i nogami wykonywał dziwaczne ruchy, tak, iż się zdawało, że wysoko w powietrzu buja żywy człowiek. Na wysokości mniejwięcej 200 metrów jeden z balonów odczepiał się od ręki, która go trzymała, poczem Rolla utracił równowagę i dzięki pomysłowo wykonywanemu spadochronowi łagodnie spadał ku ziemi. Zaś balon wzniósł się jeszcze mniejwięcej 300 metrów wyżej, poczem z silną detonacją w nic się zamienił przed oczyma zdumionych ludzi.

Spadochron w zakresie lotnictwa wojskowego.

Obecnie zastosowanie spadochronu przy aeroplanach zostało przez technikę zupełnie rozwiązane i udoskonalone w zastosowaniu praktycznem. Wartość tej zdobyczy jest bardzo wielka dla lotników wojskowych. Przy pomocy spadochronów mogą nawet całe oddziały piechoty lądować za stanowiskami nieprzyjaciela, co urzeczywistnili Francuzi w niedawnych wielkich manewrach wojskowych.

NIC NOWEGO!

Mędrzec wschodni nazwiskiem Ben Akiba z tego głównie zasłynął, iż utrzymywał, że nic nowego niema na świecie. Wielbiciele dzisiejszego postępu i olbrzymich jego odkryć, gotowi wyśmiać starego filozofa, niech wprzód zajrzą do księgi historii, a przekonają się, że geniusz ostatnich wieków nic prawie nowego nie odkrył ani nie stworzył, tylko stare rzeczy odgrzebał, stare wynalazki wznowił, i dzięki udoskonalonej przez wieki robocie mechanicznej, częstokroć ulepszył.

Na potwierdzenie tych słów przytaczamy garść, na los szczęścia wziętych z kart dziejów, przykładów:

Pliniusz opowiada, że Nero walce gladiatorów przypatrywał się przez szmaragd. Bez wątpienia cesarz ten miał wzrok krótki i używał drogiego kamienia zamiast lornetki.

—o—

Starożytni mówią o napisach egipskich i assyryjskich, których gołem okiem czytać nie było można. Jakże napisy te wykonywano i jak je czytano? Czy nie było do tego potrzeba szkła powiększającego? Wszelka wiadomość o tem zaginęła. Spustoszenia, jakie król perski Kambyzes zrządził w Egipcie, podcięły dalszy rozwój umiejętności w tym kraju.

—o—

Jeżeli Egipcjanie nie znali igły magnesowej, jakże zdołali swoje piramidy budować dokładnie w kierunku czterech punktów kardynalnych? Jak znaleźli linię południka, o którym przecież Eratosthenes z Aleksandrii widocznie wiedział?

—o—

Chaldejczycy wiedzieli już, że się ziemia obraca. Epigenes opowiada, że za jego czasów — na krótko przed Aleksandrem Wielkim — znaleziono na glinianych tablicach obserwacje zaćmień słońca i księżyca, przez lat 730 spisywane w Babilonie.

—o—

Jeszcze większą niż Egipcjanie dokładność w obliczeniu długości roku osiągnęli Chińczycy w zapadłej starożytności. Jeżeli nie posiadali potrzebnych do tego narzędzi, to tembardziej podziwiać trzeba ich cierpliwość w obserwacji. Niestety, wszystkie ślady piśmienne ich znajomości gwiazd i innych umiejętności, w trzecim wieku przed naszą erą, padły ofiarą barbarzyńskiej żądzy niszczenia jednego z ich cesarzów. Odtąd poczęli zaniedbywać astronomię i w dziesiątym wieku nauka ta przestała u nich istnieć zupełnie.

—o—

W Grecji już Tales twierdził, że wszystko z wody powstało, że ziemia posiada kształt kuli. Pitagoras nauczał, że księżyc otrzymuje światło od słońca, i że ziemia jest gwiazdą ruchomą, kręcącą się dokoła słońca. Anaksagoras zupełnie dobrze tłumaczył przyczyny zaćmień słońca i księżya. Co Pitagoras przypuszczał, to nasz Kopernik udowodnił.

—o—

Średnie wieki stanowią plamę ciemną, zalegającą między poglądami starożytnych a Kopernikiem. Tylko wśród Arabów znalazła nauka schronienie. Kilku gwiaździarzy arabskich udoskonaliło narzędzia obserwacyjne. Maurowie dźwignęli pierwsze w Europie obserwatoria. Jedno z nich zostało wzniesione w r. 1196 w Sewilli. Po wypędzeniu Maurów z Hiszpanii, chrześcianie nie wiedzieli co począć z tem obserwatorium i obrócili je na dzwonnice.

—o—

Wynalazek szkła jest także bardzo stary. Soczewki szklane były już w odległej starożytności używane jako szkła palące. Kulkami szklanemi zapalały Westalki święty ogień. Lekarze używali ich do wypalania ran.

—o—

Proch strzelniczy był niejednokrotnie wynaleziony. Znali go Hindusi. Mamy z ósmego wieku indyjski przepis na wyrabianie prochu z siarki, węgli drewnianych i saletry. Informacja, polecająca nabijanie go w długą, wązką, na jednym końcu zamkniętą rurę, każe się domyślać rakiety. Chinczycy posiadali również proch strzelniczy w odległej starożytności.

—o—

Kanał Sueski uchodzi za cudowne dzieło nowych czasów, tymczasem Faraonowie już zbudowali byli kanał między morzem Śródziemnem a Czerwonem, którego początek budowy opisuje Herodot. Po upływie wielu wieków, za czasów mahometańskich, kanał ten zasypano.

—o—

Przeniósłszy się w nowsze czasy, zaledwie o parę wieków w tył, cóżby się to nie dało powiedzieć o początkach fonografu i telefonu, o zastosowaniu siły pary i t. d.! Wszystko to są wynalazki dawne, które na długie czasy później w zapomnienie popadły. W książce Jana Joachima Bechera, wydanej w drugiej połowie XVII wieku, pod tytułem: „Głupia mądrość i mądra głupota" nadzwyczaj wyraźnie widzimy zaznaczone: fonograf i telefon.

—o—

Materiał do podobnych cytat jest niewyczerpany. W nowszych czasach nastał zwyczaj patrzyć na przeszłość z pogardą, a przeciwnie, wszystko co nowoczesne wynosić, na urągowisko historji i skromności naukowej.

Jan Jakub Kowalczyk.

ORACZE

Powieść z czasów budzenia ludu śląskiego z letargu narodowego.

(Ciąg dalszy).

— Dalej poznacie tam z całą pewnością świątobliwego kapłana i stróża Matki Boskiej Piekarskiej, ks. kanonika Ficka, tudzież dzielnego i pełnego energii ks. Szafranka, proboszcza bytomskiego, a naszego posła do parlamentu w Frankfurcie. Wogóle, jak powiedziałem, zbiorą się nasi naświatlejsi działacze, a przyjść mają także różni mniej wybitni, ale interesujący się sprawą ludową przedstawiciele społeczeństwa.

— Nie mogę Panu Bogu dosyć dziękować za to, że nas natchnął, byśmy wybrali się do pana — zawołał Ligoń, składając ręce jak do modlitwy i skierowując wzrok ku stropowi niebios. — Co za niewymowna łaska dla nas, jak wielkiego doczekaliśmy się szczęścia, iż nam danem będzie zetknąć się odrazu z tylu ludźmi, poznać ich i usłyszeć ich zdania o naszej sprawie polskiej na Śląsku.

Skorzystał z wygłaszania tych słów dziękczynnych Szaflik i zwrócił się do gospodarza w swej niby to osobistej sprawie:

— Niech pan raczy wysłuchać teraz jeszcze mej osobistej prośby! Musiałem przerwać me nauki gimnazjalne dla braku pieniędzy i muszę teraz znaleźć godziwe zajęcie i chleb. Czytałem w Gliwicach w pewnej gazecie niemieckiej, że w Londynie istnieje od przeszło dwudziestu lat tak zwany ruch spółdzielczy, zainicjowany prze tamtejszych robotników dokowych pod kierunkiem filantropa i obrońcy ludu roboczego Roberta Owena. Wspomniani robotnicy, utworzywszy spółkę, zakupują wprost u źródła potrzebne w gospodarstwie domowym towary i sprzedają je potem między swych członków w własnym sklepie po cenach znacznie niższych, niż takie same towary można dostać u kupców. Sklepy takie nazywają się konsumami. Spółek takich, jak pisała owa gazeta, istniało już w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia w Anglii blisko pięćset. Wszystkie one prosperują a mają do tego i tę dodatnią stronę, że także rzemieślnicy się zrzeszają i na wspólny rachunek sprowadzają surowce, jak płótno, sukno, nici albo skórę, kołki do zelowania itd. i potem między siebie rozsprzedają z niewielkim zyskiem. Ruch ten w Anglii rośnie z roku na rok i rozwija się świetnie, dopomagając biedakom do wywalczenia sobie znośniejszych warunków bytu. Chciałbym się wobec tego zapytać pana, czy nie byłoby może dobrze, gdybyśmy coś podobnego stworzyli także na Śląsku? Mamy tu liczne osady fabryczne, gdzie robotnik jest uciemiężony i z pewnością nie ma się lepiej, jak robotnik angielski. Chodzi mi to wszystko po głowie, szczególnie od czasu, jak musiałem opuścić gimnazjum. Mając pewne wykształcenie, mógłbym w tej dziedzinie coś zrobić dla mych rodaków a sobie wywalczyć niezależną egzystencję. Czuję wielki pociąg do tego rodzaju pracy.

Na to Lompa:

— Co tu pan opowiada, jest dla mnie nowością. Na mój rozum jest to rzecz bardzo pożyteczna i chwalebna. Lecz jak we wszystkich nowościach tak i tu należałoby sprawę wprzód zbadać wszechstronnie, bo nie wszystko złoto co się świeci. W każdym razie zasadniczo rzecz wydaje mi się niezbyt trudną do wykonania. Chodzi tu o handel. Tą gałęzią gospodarczą trudnią się u nas prawie wyłącznie żydzi. Pełno ich po naszych miastach, a po wsiach karczmarzami i przekupniami są także tylko żydzi. Na handlu doskonale zarabiają i prędko się bogacą. Jest w tym z pewnością dużo nieuczciwości i wyzysku. Ale to jest niezaprzeczenie pewne i zdrowy nasz rozum chłopski nam mówi, że handel towarami musi nawet bez oszukańczych metod dawać piękne dochody. Jakkolwiek w sprawie organizowania robotników w spółki i spółdzielnie nie mogę powiedzieć nic konkretnego, wydaje mi się, że pan popchnąłby nasze zabiegi około uświadomienia ludu na bardzo praktyczne tory. Niech-że więc pan nie rzuca powziętej raz myśli, lecz stara się zbadać gruntownie całą sprawę a potem niech pan piękną myśl zamieni w jeszcze piękniejszy czyn. Wydaje mi się, że nie będzie to łatwe zadanie, ale przy odpowiednich zdolnościach, przy śmiałej przedsiębiorczości i rzutkiej obrotności może pan dużo dobrego zdziałać dla materialnego i moralnego dobra naszego ludu i — jak pan słusznie twierdzi, — wywalczyć sobie przy tym niezależną egzystencję i poszukiwaną samodzielność. Tak ująwszy sprawę, muszę sprostować pańskie zdanie, że chodzi tu o osobistą rzecz pańską. Wszak to sprawa niesłychanie ważna dla naszego ogółu, jeżeli tylko zostanie ujęta w należyte karby i nie będzie prowadzona po partacku. Pan chyba przez skromność nazwał ją osobistą!

— Bardzo serdecznie dziękuję za te słowa zachęty! — rzekł uradowany Szaflik. — Bałem się sam zabrać do roboty, bo to człowiek przecie jeszcze niedoświadczony i można łatwo popełnić błąd nie do naprawienia. Wywody pańskie utwierdzają mnie w mych marzeniach i projektach, o których dotąd wiedział tylko mój przyjaciel Ligoń. Teraz już z raz obranej drogi nie zejdę. Będę szukał wszystkich możliwych sposobów, byśmy także na Górnym Śląsku stworzyli sobie samopomoc w życiu handlowym i go-

spodarczym w ogóle. Jak to zrobię, jeszcze nie wiem, ale że zrobię, to wydaje mi się pewnym.

— Niech pan się nie cofa z raz obranej drogi! — zachęcał Lompa. — Choćby pan miał wybrać się do samej Anglii po naukę i doświadczenie praktyczne, niech to pana nie odstrasza od powziętego zamiaru.

— Kto wie, czy tak nie zrobię! — odpowiedział Szaflik. — Jestem młody, wędrówek po świecie się nie boję, owszem, jakaś nieprzeparta siła ciągnie mnie w cudze strony. Ostatnie zdania pańskie, panie rektorze, wlały we mnie jeszcze większy zapał, niż mnie ogarniał poprzednio. Jeszcze raz składam panu stokrotne dzięki za utrwalenie mnie w mych marzeniach i zamiarach.

Resztę tej pogawędki spędzono na wymianie zdań o osobistych i lokalnych stosunkach. Słońce zaczęło wydłużać coraz większe smugi cienia, a delikatna rosa wieczorna zwilżać miękkie legowisko mszane. Spostrzegłszy to, gospodarz wezwał swych gości do powrotu i na wieczorny posiłek.

Wieczerzę młodzieńcy spożyli razem z wszystkimi członkami rodziny. Przy stole prezydował, starodawnym zwyczajem, ojciec rodziny. On też miał nadzór przy dzieleniu potraw między starsze dzieci, gdy matka, zająwszy miejsce na przeciwległym końcu stołu, wzięła pod swą opiekę drobną dziatwę. Gości gospodarz usadowił po obu swych bokach, a obok nich najstarsze swe córki. Rodzina była liczna. Do stołu zasiadło dwanaścioro dzieci, a to było nie wszystko, bo sześcioro zmarło i spoczywało wraz z pierwszą żoną na pobliskim cmentarzu lubszańskim. Z pozostałych przy życiu sześcioro było z pierwszego małżeństwa. Matka odumarła je przed jedenastu laty.

Obok Ligonia zajęła miejsce Florcia, zaś naprzeciwko niej, obok Szaflika, usiadła według wskazania ojca, młodsza od niej o półtora roku Zosia. Górowała nad siostrą urodą i Szaflik przy przedstawieniu życzył sobie w duszy, by mógł szczęśliwym trafem znaleźć się obok niej przy stole. Serce mu zabiło raźniej, gdy życzeniu jego stało się zadość. Była swobodna i otwarta, jak gdyby gościa znała już od dawna, zagadując go o szczegóły podróży, a on odwracając się ku niej, odpowiadał raczej mechanicznie, bo całą swą uwagę skierowywał na jej miłą, niewinną, wprost anielską twarz i jej piękną, wysmukłą kibić. Ona, zadając pytania, spoglądała na niego zpod cienistych długich rzęs dużymi niebieskimi oczami, zdradzającymi ciekawość a równocześnie niekrępowaną wesołość, którą zdawały się potwierdzać koralowe, pięknie wykrojone, układające się do uśmiechu usta. Po obu ramionach spływały jej ku gorsowi dwa bujne ciemno-blond warkocze, zakończone wplecionymi we włosy czerwonymi „haraskami", którymi igrały długie, różane paluszki.

Rozmowę wstępną obojga młodych przerwał głos pani Weroniki, gdy zawołała:

— No, dziewczęta! Zachęcajcie swych sąsiadów do posiłku! A ty, Józiu, czuwaj nad wszystkimi, by mi głodni nie wstali od stołu!

— Nie bój się, matuś! — odparł gospodarz. — Już ja dopilnuję, by mi nie pomdleli z głodu!

Rzekłszy to, włożył każdemu ze swych gości po pieczonym kurczęciu na talerz, sam idąc dobrym dla nich przykładem, bo i dla siebie wziął całego kogutka. Dziewczęta podsunęły gościom, jedna dymiące na „bunclowej" misce ziemniaki, druga jeszcze większą z tej samej gliny michę świeżej sałaty, oblanej octem i roztopionym smalcem z chrupiącymi „szpyrkami" z wędzonej słoniny. One same nałożyły sobie na talerz po pół kurczęciu, gdy już ojciec zaopatrzył się w odpowiednią porcję ziemniaków i sałaty i rozpoczęło się „pańskie" wieczerzanie u góry stołu, gdy matka i młodsza dziatwa ze względu na „strawność" potraw zadowalały się świeżą, słodką maślanką z „maszczonymi", to jest tłoczonymi ziemniakami, dobrze okraszonymi smalcem i skwarkami („szpyrkami").

Wszyscy jedli wolno i z powagą. Noże i widelce u posilających się pieczonym drobiem były w mozolnej robocie i każdy byłby chętnie obgryzał gnatki przy pomocy palców, jednak jakoś przy obcych ludziach nikomu tak postąpić nie wypadało. Nie mogąc dać sobie należycie rady ze swym kogutkiem, Lompa rzekł:

— Poco się mordować? Róbcie każdy, jak byście byli u siebie w domu! Kto nie może należycie obrać mięsa z kostek, niech je bierze w swe naturalne widelce, dane mu przez Stwórcę, a prędzej się nasyci.

Jak powiedział, tak zrobił.

Poszli za nim młodzi goście a i dziewczęta po pewnym wahaniu zastosowały się do wezwania ojca.

—A teraz ty, Stasiu, podaj nam naszego wiejskiego szampana! — rozkazał gospodarz, zwracając się do najstarszego syna i wycierając równocześnie palce w serwetkę.

— Maryś i Józia, przynieście panom i tatusiowi szklanki! — dodała do rozkazu męża pani Weronika.

Wszyscy troje młodzi zerwali się na nogi. Gdy dziewczęta ustawiały na stole szklanki, Staś, stojąc za plecami ojca, ostrożnie wyciągał korek z butelki z piwem słodowym, który w końcu wyskoczył z hukiem, odbijając się o sufit, a za nim zaczęło z sykiem kipieć wzburzone piwo. Chłopiec jednak z wielką zręcznością przechylił butelkę i napełnił trzymaną w pogotowiu szklankę ojca szumiącym, musującym płynem, stawiając przed nim pełną szklankę z dużym „kołnierzem" piany, po czym obsłużył kolejno gości. Lompa podniosłszy swoją szklankę, trącił się z nimi i zawołał:

— Wasze zdrowie, młodzi przyjaciele!

— Na zdrowie! — zawołali chórem wszyscy starsi.

— Niech żyją nasi goście!

— Dziękujemy! — odwzajemniali się Ligoń i Szaflik, pijąc smaczne musujące i nieszkodliwe piwko „ajnfachowe", jak powszechnie nazywano na Śląsku piwo słodowe, którego musujące perły buchały do nosa niczem najwspanialszy szampan.

— Ligoń, otarłszy serwetką usta, zawołał z powagą:

— Niegodniśmy, proszę państwa, tylu honorów. Skromniśmy ludzie i grzecznie proszę w mego przyjaciela i moim imieniu przyjąć od nas słowa podzięki za goszczenie nas i nasz wzajemny okrzyk: Państwo rektorostwo wraz z ich zacną rodziną niech żyją!

— Niech żyją! — podjął Szaflik okrzyk i trąciwszy się z gospodarzem i kłaniając się w stronę pani domu, panny Florci i swej sąsiadki Zosi, wychylił szklankę do dna.

— Widzę, że piwko smakuje! — zawołał Lompa żartobliwie. — Stasiu, nalej nam jeszcze, bo dobrze jest przepłukać gardło po mięsnej wieczerzy.

Nastąpiła kilkunasto-minutowa ożywiona pogawędka, w czasie której Szaflik zwierzał się swej sąsiadce ze swych zamiarów na przyszłość, zaś Ligoń opowiadał gospodarzowi o swych wierszach, które w czasie wolnych od zajęć chwilach układał na różne tematy.

— Może Pan zabrał z sobą który z nich? — zapytał Lompa zaciekawiony, podając mu mechanicznie tabakierkę a następnie trącając nią Szaflika. Ten zatopiony w rozmowę z miłą swemu sercu sąsiadką, odwrócił się speszony i nieco zawstydzony w stronę jej ojca, bo sądził, że go przyłapał na jakimś zdrożnym postępku. Przekonał się jednak z jego zamyślonej twarzy, że nie domyśla się, co się w jego sercu dzieje, wziął szczyptę tabaki, w czasie zażywania większą jej część puszczając na podłogę, by czasem głośnym kichaniem nie odstręczyć swej ujmującej rozmówczyni, i odwróciwszy się do niej, gwarzył z nią dalej.

Lompa, ze swej strony, dowiedziawszy się, że Ligoń przyniósł ze sobą różne wiersze, oznajmił głośno, że po załatwieniu się kobiet z porządkami kuchennymi, nasz pierwszy śląski poeta wyda dla wszystkich ucztę duchową, bo odczyta szereg swych oryginalnych wierszy.

— Ależ panie rektorze! Co też pan mówi! — protestował Ligoń. — Jakąż to ja, skromny kowal, mogę wydać ucztę! Napisałem trochę wierszy, nucąc je sobie jak ten szary skowronek w przestworzu; to wszystko. O żadnej uczcie duchowej nie może być mowy.

— Niech się pan na mnie nie gniewa! — łagodził Lompa, zaskoczonego poetę. — W każdym razie może pan być pewny, że ciekawi będziemy usłyszeć pańskie wiersze.

Wieczór istotnie zamienił się dla wszystkich w prawdziwą ucztę duchową. Ligoń odczytał kilka wierszy patriotycznych i religijnych, do tego Lompa dodał zasób uwag ze swego doświadczenia życiowego, opowiadał różne ciekawe szczegóły z życia wybitnych ludzi i działaczy z dawniejszej i bliższej przeszłości a Szaflik okraszał wieczór dowcipnymi opowiadaniami ze swych przeżyć w gimnazjum gliwickim. Ani się spostrzeżono, jak wybiła godzina jedenasta.

Spojrzawszy na zegar Lompa zawołał:

— Ale teraz najwyższy czas, byśmy się wszyscy udali na spoczynek! Do cna zapomniałem, że nasi goście są od przeszło dwudziestu godzin na nogach i ani na chwilkę się nie zdrzemnęli. Naprawdę czas, panowie, abyście przede wszystkim wy zażyli zasłużonego snu.

* * *

Nazajutrz młodzi, po nabożeństwie rannym, spędzili jeszcze kilkanaście chwil na miłej pogadance z gospodarzami i pannami, po czym, zaopatrzeni obficie w posiłek, zaczęli wybierać się w powrotną drogę.

Wielkie było ich zdziwienie, gdy przed szkołę zajechał zgrabny lekki powozik, zaprzężony w dwa dziarskie koniki wiejskie. Była to uprząż pana Lompy, którą kazał swemu parobkowi odwieźć gości aż do samej Solarni. Na żadne protesty z ich strony się nie zgodził. Szaflikowi było bardzo ciężko opuścić Lubszę, „bo mu serce jak żywica przylgnęło" do panny Zosi. Cała rodzina Lompów wyległa przed szkołę, by pożegnać gości, gdy wyruszyli krótko przed głównym nabożeństwem w drogę. Najdłużej stała przed domem Zosia, wywijając białą chusteczką na pożegnanie. Szaflik odwzajemniał się, zapalczywie wymachując ręką, a gdy bryczka już miała zniknąć na zakręcie, posłał jej serdecznego całusa. Zosia w tej samej chwili wpadła zarumieniona po same uszy do sieni i pognała po schodach do swego i siostry pokoiku....

Rozdział III.

Wielka gromada.

Tam, gdzie przecina jeszcze dziś gęsty i mocno podszyty „las żorski" gładka jak stół szosa asfaltowa, prowadząca od Katowic przez Mikołów, Łaziska, Gardawice i Woszczyce ku Żorom, w roku 1848 biegła szeroka, ale niezmiernie zniszczona droga — jwyczajna droga polna, pełna kolein i wybojów. Była to główna arteria komunikacyjna, łącząca powstający w owych czasach górnośląski obwód przemysłowy z „Cysarską" czyli monarchią austriacką, a raczej bez-

pośrednio z Księstwem Cieszyńskim, które po trzech krwawych „wojnach śląskich" w połowie ośmnastego wieku pozostało przy Austrii, gdy ogromną większość ziemi śląskiej król pruski Fryderyk II. oderwał od niej i przydzielił do swych dzierżaw. W czasie słot i deszczów droga zamieniała się gdzieniegdzie w sięgające po osie wozów bajorka albo też na odmianę w wystające z nich lepkie rozmokłe wysepki gliniaste, w których konie grzęzły po kolana, z trudem wyciągając z nich kopyta, często gęsto gubiąc podkowy, a z jeszcze większym wysiłkiem wlokąc za sobą wehikuł, chwiejący się to na prawo, to na lewo, gdy wpadał w bądź głębszą, bądź płytszą koleinę, podobny raczej do łódki miotanej falami morskimi, niż do lądowego środka lokomocji. Gdzie znów grunt gliniasty przechodził w glebę piaszczystą, co się także zdarzało na tej drodze, konie parskając, rzekłbyś, z radości, lżej oddychały i chyżej ciągnęły za sobą wehikuł, a człek swobodniej wciągał w piersi pachnące, orzeźwiające żywicą wyziewy lasu, prędko zapominając o co dopiero przebytym kołysaniu i szumiącym kąpaniu się kół w żółtawym żurze kałuży. Gdy znów słońce przypiekało w porze letniej i panował skwar, konie kopytami wzniecały olbrzymie tumany kurzu a potem swym nęciły ku sobie chmary kąśliwych much, ślepców i bąków, które je obsiadały bezceremonialnie gdzie się dało, i nawet siedzących na wozie ludzi niepokoiły. Trzeba było bezustannie machać gałązką sosnową lub świerkową, by odegnać napastników, konie również obwiesiwszy takimiż gałązkami, by je chronić przed tymi „drobnymi pachołkami sprawiedliwości bożej", jak dowcipnie, ale niezbyt trafnie nazwał tego rodzaju owady moral'sta niemiecki, jezuita R. J. Meyer, w swej skądinąd doskonałej książce: „Człowiek w całej swej prawdzie". Gdyby choć raz był patrzał na cierpienia koni, kąsanych podczas przebywania lasu, albo był uprzytomnił sobie, jak straszne musiał przechodzić Chrystus katusze, gdy przez trzy godziny wisiał na krzyżu, a ciało Jego obsiadły tysiące i tysiące tych owadów i znęcały się nad Nim, z pewnością nie byłby im przyznał tak zaszczytnego przydomka.

Po takiej to drodze i w takich warunkach posuwała się, zaprzężona w dwa dziarskie rumaki wiejskie, w skwarny poranek czerwcowy 1848 roku żółta koszykowa bryczka, zależnie od wyboistości raz przyspieszając biegu, to znów go zwalniając. Były na niej dwa siedzenia, na dole z twardej słomy żytniej, u góry z miękkiej słomy owsianej, z wszystkich stron starannie owinięte i nakryte szarymi wełnianymi kocami. Z przodu, powożąc, siedział woźnica na tylnym siedzeniu, owinięty w lekki lniany płaszcz podróżny, zajmował miejsce jakiś kapłan, co było łatwo poznać po jego rzymskim obojczyku. Głowę miał nakrytą brunatnym słomkowym kapeluszem. Ksiądy w prawej ręce trzymał brewiarz, modląc się z niego, a lewą oganiał muchy i bąki, woźnica zaś rozglądał się od czasu do czasu w tył poza bryczkę, a już prawie bezustanku zwracał wzrok to na prawo, to na lewo, wpatrując się uważnie w las. Opowiadano bowiem, że właśnie w tym „żorskim lesie" roi się od rabusiów i zbójników, którzy napadają podróżnych i zabierają im, co się tylko da, nieraz nawet i życie. Stąd ten jego niepokój i cągłe baczenie na wszystkie strony. Nagle, nachyliwszy się i sięgnąwszy po leżącą na dnie bryczki siekierę, zawołał:

— Panie farorzu! Jaki sto kroków przed nami wyszli z lasa dwa chłopi, jeden wysoki jak drąg, a drugi kapkę miejszy i jidą wolno przed nami. Może to jacy zbójnicy. Dejmy se pozór, żeby nas nie napadli.

Ksiądz przerywając modlitwę, rzekł:

— Dziwnyś, Francku, z twymi zbójnikami! Wszędzi widzisz zbójników i zbójników. Bydą jacyć podróżni, co jidą kańś na huty abo kajińdzij.

— Jo tam, panie farorzu, wolę jich mieć za zbójników i być gotowy na poczestowani jich siekjyrą, kieby chcieli na nas napaś!

— Rób jak chcesz, Francku! Ale jo ci padom, że to są spokojni ludzie.

— Wio, koniczki, wio! — przynaglał Francek konie do biegu, by czym prędzej dogonić i minąć piechurów.

Gdy bryczka zrównała się z nimi, obaj odwrócili się twarzami do jadących. Woźnica wsunął między kolana siekierę, by ją każdej chwili mieć w pogotowiu, i ująwszy lejce w obie garście, popędzał nimi konie do prędszego biegu, by zmykać co sił. Oni ze swej strony zdjęli kapelusze i pozdrowili Pana Boga, a bezpośrednio po tym wysoki zawołał:

— A dyć to pon farorz krzyżowski!

— Prr, prr, stój, nie łuciekej, Francku! — wołał ksiądz, przytrzymując woźnicę za kołnierz. — Padołech ci, że to bydą dobrzy ludzie i sprawdziuło sie moi przeczuci!

Zatrzymawszy bryczkę, która sie już kilkanaście kroków naprzód wysunęła, odwrócił się do wędrowców i krzyknął:

— Kanż to, panie Miarka, sie wybjyrocie?

— Do Bytomia na wielgą gromadę, panie farorzu!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rękopisów redakcja nie zwraca. — Redaktor przyjmuje w każdą sobotę w godz. od 4—6 popołudniu.
Adres redakcji i admin. „Placówki" Katowice, Ks. Damrota 8, III. — Konto P. K. O. 302 603 Katowice.
Odpowiedzialny wydawca-redaktor: Józef Grzegorzek, Katowice, ul. Ks. Damrota 8.
Drukarnia Antoniego Gorzelika i Jana Wąsika, Katowice, ul. Kościuszki 39. — Telefon 302-19.

Restauracja i Bufet Karola Benkego

Katowice, Dworcowa 9, w domu Hotelu „Monopol" - Tel. 353-47

PIERWSZORZĘDNY BUFET ZIMNY I GORĄCY. — DANIA ŚNIADANKOWE A LA MINUT.
ZNAKOMITE WÓDKI I LIKIERY Z WŁASNEJ FABRYKI.
DOBRZE PIELĘGNOWANE PIWA.
SMACZNE OBIADY OBYWATELSKIE Z 3-CH DAŃ á 90 GROSZY.



Siegel i Ska Spółka z o. o. Katowice II. / Wytwórcy znanych artykułów:

„Sidol" płynny środek do czyszczenia
„Sigella" szlachetna zaprawa do podłóg
„Sirax" proszek do szorowania
„Vulkan" pasta olejna do pieców

L. Müller

ZAKŁAD OGRODNICZY I SPRZEDAŻ NASION

Chorzów III, Kolonia Węzłowiec, tel. 418-63

Poleca **nasiona** wszelkiego rodzaju. **Sadzonki** kwiatowe i warzywne. Beliny, **róże**, dalie i gladiole. Krzaki ozdobne i **drzewka owocowe** oraz alejowe. Kwiaty doniczkowe i cięte. **Specjalność:** Bukiety ślubne, wieńce żałobne, dekoracja stołów. **Zakładanie ogródków dom.**

FILIE:
Chorzów I, Wolności 1; Katowice, 3 Maja 16

„FERROHURT"

wł.: Wylezik, Ciesiołka i Burzyk
jawna spółka handlowa, sądownie zarejestr.

Żelazo - Narzędzia - Artykuły techniczne

Dostawa dla kopalń i hut.
KATOWICE — PLAC WOLNOŚCI 11
Telefon 308-65 — Adres telegr.: „Ferrohurt"

PAWEŁ SZYMALLA

MISTRZ RZEŹNICKI

ŻORY - Dolne Przedmieście 7

Telefon 72.

FABRYKA WĘDLIN I WYRĄB MIĘSA.
Poleca codziennie świeże wyroby.

Franciszek KUTZ - ŻORY

P. K. O. Katowice 301 319 - Telefon 18

Cegielnia Parowa — Fabryka rurek do drenowania i dachówek — Cegła pustakowa i sufitowa

